



Dostępna także jako
e-book i audiobook

ADAM HELLER
IZABELA STANEK

ŚWIATŁO WSCHODU



Adam Heller

Izabela Stanek

ŚWIATŁO WSCHODU

[Kup książkę](#)

Adam Heller Izabela Stanek

Światło Wschodu

Redakcja: Ewa Sawicka, Marek Zaborowski

Korekta: Robert Żebrowski

© Adam Heller, 2021

© Izabela Stanek, 2021

Wydawnictwo Literackie „I się wydało”

www.isiewydalo.pl

Legionowo 2023

ISBN 978-83-8245-890-9

Skład i łamanie:

STUDIO

grafpa

www.grafpa.pl

[Kup książkę](#)

CZY WRAZ Z PŁODEM
RODZI SIĘ SUMIENIE,
CZY Z CHWILĄ
POPEŁNIENIA ZBRODNI?

DEDYKUJĘ TĘ KSIĄŻKĘ
MOJEJ UKOCHANEJ MAMIE
— SYN —

DEDYKUJĘ TĘ KSIĄŻKĘ MOJEJ CÓRECZCE,
KTÓRA JEST DLA MNIE NAJWSPANIALSZYM DAREM OD BOGA
— MAMA —

[Kup książkę](#)

WSTĘP

CO ZROBISZ, KIEDY W SWOJEJ zacisznej uliczce zobaczysz uciekającego człowieka? Uciekinier, z rozczochraną głową, ma na sobie poszarpany garnitur. Ścigająca go grupa – nienaganne mundury, nieznane żadnej ziemskiej formacji. Możesz uchylić furtkę i otworzyć uciekinierowi szansę ocalenia, możesz podstawić mu nogę i oddać w ręce goniących.

Jeśli podstawilibyś mu nogę, kończąc tragiczny pościg, nie czytaj tej książki. Twoje wyobrażenie o świecie jest bowiem zasadniczo inne, niż wyobrażenia przedstawionego w niej bohatera.

Jeśli uchyliłbyś uciekinierowi furtkę, możesz bez lęku zacząć lekturę. Spotkasz się bowiem z człowiekiem, który wie, że droga może być celem, a sama wędrówka stanowić sens istnienia, lecz przeciwko takiemu pojmowaniu życia nieustannie buntuje się, szukając oparcia w Bogu. Na każdej z dróg, które przemierza, na krętych ścieżkach i szerokich autostradach, w zaułkach ukraińskich miast i na rozległych przestrzeniach stepu, w holach wielogwiazdkowych hoteli Lwowa i na przaśnych bazarkach prowincjonalnych Czerkas, przy więziennym murze kijowskiej *ciurmy* i na wyzwolicielskim placu kijowskiego *Majdanu* – stara się dążyć do swojego trwałego celu, nadać mocny sens przebywanej drodze. Modli się jak mnich i klnie jak szewc, kłamie jak z nut i śpiewnie głosi kult prawdy, docenia erotyczny profesjonalizm dziwek, ale chce

żyć z madonną w uduchowionym związku. I – co najważniejsze – nie podstawia nogi uciekinierom, raczej szeroko uchyla furtkę, wierząc w moc chybotliwej wolności, nie w spokój zamrożonego zniewolenia.

W tle szeroka, wbrew pozorom mało znana, panorama społeczna i polityczna Ukrainy początku XXI wieku. *Musora* i *wory w zakonie*, *Zakarpacki* koniak i trudno dostępna *gandzia*, patrioci nazywani *faszystami*, *pederasty* polityczni i mafijni *pryncypowie*, narodowe sentymenty i europejskie złudzenia; reminiscencje wołyńskiej rzezi i wielkiego głodu, żydowskiego Krymu, skażonego Czernobyla. Kawał historii widziany oczami swojskiego *bratuszki*, nawracającego się na uczciwość byłego aferzysty.

Jeśli uchylisz furtkę pierwszemu tomowi trylogii – sięgniesz po drugi.

POCZĄTEK ODYSEI

*Stoi na stacji lokomotywa,
Ciężka, ogromna i pot z niej spływa.*

POCIĄG, KTÓRY STAŁ przede mną, rzeczywiście wydawał się bardzo ciężki i ogromny. Był szerszy niż polskie pociągi. Później dowiedziałem się, że na Ukrainie używają szerszego rozstawu osi, przez co na granicy czeka się dobrych parę godzin, aż przełożą podwozia. Nasze polskie ciuchcie wyglądają przy nich jak tramwaje do poruszania się z dzielnicy do dzielnicy. Ukraińskie pociągi były większe, wyższe, szersze. Skonstruowane do podróży po bezkresnym wschodzie, czasem na trasach, które liczyły tysiące kilometrów i oferowały kilkadziesiąt godzin podróży. Coś jeszcze zwróciło moją uwagę, na początku składu nie jedna lokomotywa, a dwie, jedna za drugą. Były masywne, stwarzały wrażenie, że mogłyby ciągnąć dużo więcej niż – parafrazując Tuwima – czterdzieści wagonów. Wagony zrobiły na mnie jeszcze większe wrażenie. Patrząc na tego wjeżdżającego majestatycznie na Dworzec Centralny w Warszawie kolosa, uśmiechnąłem się lekko pod nosem, wróciła mi dziecięca ciekawość. Taka dziecięca fascynacja sprzed lat pociągami i podróżami koleją. Wtedy poczułem, że podjąłem słuszną decyzję co do sposobu ucieczki z kraju. Chciałem to zrobić

jak najbezpieczniej i jak najbardziej anonimowo. Pozostałe opcje zawierały zbyt wiele ryzyka. Oczywiście miałem wybór. Mogłem wylecieć z kraju samolotem, co trwałoby krócej o dwadzieścia godzin, lub przekroczyć granicę samochodem albo autobusem. To również byłoby szybsze, zakładając, iż nie trafię na zator przy przejściu granicznym. Z samochodu zrezygnowałem od razu, ponieważ nie mam prawa jazdy, a nie chciałem brać swojego kierowcy, by nie zostawiać śladów ani informacji, gdzie wyjeżdżam. Dotarcie samolotem na Ukrainę również nie wchodziło w grę. Choć byłaby to najszybsza podróż, to odpadała z tego względu, że lotniska prowadzą skrupulatną kontrolę, nie tyle bagażu, co osoby wyjeżdżającej. Do tego istniała bardzo mała szansa na ewentualne dogadanie się z człowiekiem po drugiej stronie, ze względu na małą przestrzeń, rygory i procedury. Przez dogadanie się mam na myśli oczywiście przekupstwo. Pozostawała mi ewentualnie jazda autobusem, gdzie sama podróż mogłaby nie być tak męcząca i nie tak długa, gdyby nie masa ludzi jeżdżących tymi autobusami, która w dziewięćdziesięciu procentach zajmowała się nielegalnym handlem pomiędzy Ukrainą a Polską. Przemyt i kontrabanda kwitła w tamtych czasach. Oznaczało to praktycznie stuprocentową pewność, iż ten autobus i jego pasażerowie będą przeszukani przez służby celne, tak po polskiej stronie, jak i po ukraińskiej. To przedłużyłoby podróż o następne dwadzieścia godzin. Nigdy nikt, z tego co wiem, nie dojechał do miejsca docelowego autobusem zgodnie z rozkładem jazdy podawanym przez przewoźników.

Oczywiście nie przeszkadzało to indywidualnym osobom jeździć w tę i z powrotem, zabierając ze sobą karton papierosów czy parę butelek wódki. Dostatecznie dużo, żeby zarobić na różnicy ceny, ale zbyt mało, żeby złamać przepisy. O skali i procedurach przemytu na granicy polsko-ukraińskiej miałem się jednak dopiero dowiedzieć. Oczywiście pociągi też służyły do przemytu i była to osobna gałąź kontrabandy. Ale nagminnego indywidualnego przemytu nie było, przede wszystkim ze względu na ceny biletów. Tu rządzili kolejjarze i to oni

zajmowali się przemytem, na dużo większą skalę. Pociąg miał też tę bardzo ważną zaletę, że tory były jedne i musiał kursować zgodnie z rozkładem. Tu korek mi nie groził.

Odszyfrowałem informacje zawarte na bilecie, udało mi się ustalić numer wagonu, w którym miałem spędzić następne dwadzieścia godzin. Pozostawało go tylko odnaleźć. Moim oczom ukazała się dosyć młoda i zgrabna pani konduktor, której właśnie miałem zadać pytanie, czy to na pewno mój wagon, a jeżeli nie, to gdzie mam się udać. Nie przejmowałem się, ani nie zastanawiałem nad faktem, że kompletnie nie znam ukraińskiego. Nawet nie miałem pojęcia, że Ukraińcy mają swój własny język. Myślałem, że wszyscy na wschodzie mówią po rosyjsku. Było to dla mnie tak oczywiste, jak to, że wszyscy piją wódkę. Taki głupi byłem. Mnóstwo historii później wypłynęło z tego faktu, jak ta, gdy cały dzień szukałem bułki tartej i nikt nie mógł zrozumieć czego poszukiwałem, lub gdy nie wiedziałem, że *piguły* to po prostu tabletki i długo myślałem, że idzie tu jakiś większy handel ekstazy. Problem nieznamości języka miała rozwiązać obecność Bratuszki, mojego anioła stróża, który miał mnie dostarczyć bezpiecznie i bez przeszkód do miejsca docelowego, a w razie problemów pomagać i tłumaczyć. Zanim zdobyłem się na moją „foniczną wizualizację rosyjskiego”, kątem oka ujrzałem Bratuszkę biegnącego w stronę końca składu pociągu. Zrozumiałem, iż to nie jest mój wagon i że znajduje się on gdzieś z tyłu składu. No, nie zagałam do tej ładnej pani konduktor, pomyślałem i dosyć szybko zacząłem iść w stronę, w którą biegł Bratuszka z moim bagażem. Przyspieszyłem, bo przestraszyłem się, że stracę go z oczu, wciąż żałując utraty szansy na rozmowę ze śliczną panią konduktor. Mimo przyspieszonego kroku na pograniczu biegu zauważyłem jednak, że z każdego mijanego przeze mnie wagonu wychodzi lub już przy nim stoi bardzo ładna pani konduktor. To mnie, jako zdrowego faceta, bardzo zaintrygowało. No i nie zgadzało się ze standardami polskich pociągów. Dlaczego jest tylu konduktorów w jednym pociągu, nawet jeżeli ten pociąg jest międzynarodowy i jest w nim tyle

wagonów? A było ich naprawdę dużo, nigdy wcześniej nie trafiłem na tak długi skład, a sporo przecież jeździłem po Polsce. W końcu dotarłem: wagon 173, miejsca 17 i 19 w *kupiejącym*, czyli sypialnym.

Przywitała nas kolejna śliczna pani konduktor. Sprawdziła nasze bilety oraz ważność paszportów, a także czy nasze twarze zgadzają się z twarzami ze zdjęć. Od tej pogoni za Bratuszką, przez cały niemal skład pociągu, twarz zmieniła mi się z bladej twarzy Europejczyka uśmiechającej się do pani konduktor ze zdjęcia w twarz zziąjanego Indianina po ucieczce przed bladymi twarzami. Dodam tylko, że ostatni raz biegałem chyba na wychowaniu fizycznym w szkole.

Pani konduktor była ubrana w niebieski, dwurzędowy garnitur ze złotymi guzikami z logo ukraińskich kolei (notabene największego pracodawcy w Europie, zatrudniającego ponad trzysta tysięcy pracowników). Jej szyję zdobiła również niebieska apaszka ze złotymi motywami kolei. Na głowie miała coś w rodzaju toczka w żółto-niebieskich kolorach. Ta była młoda i śliczna, lecz, jak się potem okazało, nie wszystkie takie były. Bywały również starsze i bardziej przy tuszy. Po tym można było odróżnić konduktorki od kierowniczek. Jak się okazało w czasie podróży, taka pani konduktor oprócz pilnowania wyjścia z wagonu oraz sprawdzania, kto wchodzi do wagonu, a kto wychodzi, zajmowała się też wieloma innymi rzeczami.

Weszliśmy do wagonu, a dokładniej do części pośredniej, gdzie czuć było swąd papierosów oraz palonego węgla i drewna. Zapach fajek nie zdziwił mnie wcale, wręcz go oczekiwałem, widząc robiące za popielniczki wielkie puszki, przypominające wojskowe *banki* na wołowinę. W Polsce również paliło się w łączniku pomiędzy wagonami. No, ale skąd ten zapach węgla i drewna? Przecież widziałem, że skład pociągu był podczepiony pod dwie wielkie spalinowe lokomotywy, a nie parowozy. Stanowiło to dla mnie zagwozdkę, ale nie miałem czasu się nad nią zastanowić, bo Bratuszka otworzył masywne drzwi na korytarz prowadzący do naszego przedziału sypialnego. Ponownie ujrzałem niebiesko-żółte kolory jako motyw przewodni wystroju. Jeszcze

wtedy nie skojarzyłem, iż są to oficjalne kolory flagi państwowej Ukrainy. Niebieski kolor interpretuje się jako kolor nieba i pokoju, zaś żółty symbolizuje zboże, dobrobyt i bogactwo ziemi. Po prostu pomyślałem: ooo, ładne kolory, ciepłe i w myślach skomentowałem: wybrali dobrego dizajnera.

Te kolory będą się bardzo często przewijały w kraju, który wkrótce tak mi zapadnie w serce. Jadąc tam, kompletnie go nie znałem, nie interesowałem się nim. Moje jedyne relacje z Ukraińcami były albo biznesowe, albo były to spotkania z ludźmi na bazarku, handlującymi złotymi zębami i torbami płóciennymi w kratę. Wtedy dla mnie Wschód to był Wschód, Rusek to był Rusek i tyle. Nie widziałem różnic. Ukraińiec, Białorusin, Mołdawianin, to wszystko było dla mnie to samo. Za wschodnią granicą Polski wszyscy byli Ruskimi. Moją ignorancję zasilał też dawny system szkolnictwa Polski Ludowej. Propaganda komunistyczna uczyła nie odróżniać narodów, tylko powtarzać „bratni naród Republik Radzieckich”.

Wystrój korytarza zrobił na mnie duże wrażenie, zwłaszcza dywanik, którego wzór imitował bogate, perskie zdobienie. W każdym oknie firanki i zasłony. Poczułem taki domowy, PRL-owski klimat, który już wymarł w Polsce. Zasłony upięte w kokardy, ładnie zawieszzone firanki w klasyczne ludowe wzory. Brakuje jedynie doniczek z kwiatami, pomyślałem przekornie. Wszystko to stwarzało nastrój wręcz domowy, jakbym przeszedł z pociągu do czyjegoś domu, z pasażera stał się gościem. Dla licznej załogi, która nieraz pokonywała trasy zajmujące kilka dni, ten pociąg pewnie był nie tylko miejscem pracy, ale wręcz drugim domem. Było to dla mnie zupełnie nowe przeżycie, bowiem po podróżach po Polsce spodziewałem się plastikowych wnętrz, śmierdzących toalet i zupełnego braku jakiegokolwiek stylu czy atmosfery. Oczekiwałem metalowej puszki, która przewiezie mnie z punktu A do punktu B.

W końcu doszliśmy do drzwi przedziału. Za szybką na drewnianych drzwiach ujrzałem numery 17 i 19.

– To tu!

Bratuszka otworzył drzwi, po czym wszedł do środka. Przedział sypialny zdawał się zachowywać klimat korytarza. Bardzo ciepłe, w przenośnym i dosłownym znaczeniu tego słowa, pomieszczenie. Żadnych plastików i sztucznych oklein. Tylko prawdziwe drewno i do tego dwa łóżka, a pomiędzy nimi stolik. Nie taki malutki, składany, jak w polskich pociągach, lecz stacjonarny, niemal kuchenny, do tego wysoka szafka na ubrania wraz z kilkoma wieszakami i miejscem na bagaż. Obok toaletka, która pełniła podwójną funkcję. Można było coś na niej postawić lub położyć, zaś po zdjęciu blatu ukazywał się schowany za nią mały zlew. Wspominałem, że było ciepło, ale gdy zdjąłem marynarkę i zacząłem rozpakowywać bagaże, dotarło do mnie, że w przedziale było gorąco, jakby ktoś palił w piecu. Położyłem walizki na łóżko Bratuszki i odchyliłem stylowe firanki. Pociąg ruszył.

Odwróciłem się tylko na moment, a Bratuszki już nie było. Znowu gdzieś pognał. Usiadłem przy oknie i wytarłem je z pary. W Warszawie padał śnieg, było zimno i dzień już się kończył. Było szaro i nieprzyjemnie. Zrobiło mi się nagle smutno, jakby panująca pogoda odpowiadała moim uczuciom. Patrzyłem na uciekające światła „mojej” Warszawy, na jej szarość, tak podobną do mojej obecnej sytuacji. Starłem się nie rozczulać nad sobą, w końcu wyjeżdżałem z Polski tylko na dwa miesiące, maksymalnie trzy. Pomyślałem: kolejna przygoda w moim życiu, a każdy medal ma dwie strony. Tylko, doświadczony już życiem, wiedziałem, że czasem medal ma po prostu chujową i chujowszą stronę, a te przygody są coraz bardziej męczące. Były ciekawe i energetyzujące na początku, gdy wchodziłem w dorosłość i jako dwudziestoparolatek latałem po Polsce, uciekałem przed gangsterką na Majorkę, ale nie teraz, gdy miałem już ponad trzydzieści lat i nie osiągnąłem w życiu niczego trwałego. Ostatnie dziesięć lat składało się z samych przygód. Jakbym kur..., był jakimś Tomkiem Sawyerem; uśmiechnąłem się sarkastycznie pod nosem na to porównanie. Popatrzyłem jeszcze na znikającą Warszawę, miasto, które skradło moje serce, a które po raz kolejny porzucałem; zająłem się rozpakowywaniem bagaży. Miałem

tylko, albo aż, cztery walizki. Po akcji na Majorce stanowiły cały mój dobytek. Trochę smutne, kiedy jeździło się wcześniej limuzyną i miało osobistego szofera. Większość wartościowych rzeczy odebrano mi, w tym drogie ciuchy, garnitury po paręnaście tysięcy złotych, biżuterię, zegarki. Tak to jest, jak w balona robi się gangsterkę. Potem trzeba im dwakroć oddać, jeśli chce się przeżyć i mieć spokój.

Na szczęście od tego narastającego smutku oderwał mnie powrót Bratuszki z całą reklamówką browarów i szerokim uśmiechem na twarzy. Najpierw otworzyliśmy po butelce piwa Obołoń (jak się potem dowiedziałem, najbardziej popularnego piwa na Ukrainie). Stuknęliśmy się butelkami w geście toastu i wzięliśmy po dużym łyku za szczęśliwą podróż i bezproblemowe przekroczenie granicy. Spojrzałem na *jaszczyk* (czyli reklamówkę) piwa wypełniony przynajmniej dziesięcioma browarami. Wiedziałem od razu, że z tych dziesięciu browarów będę musiał wypić przynajmniej siedem, ponieważ Bratuszka, choć bardzo lubił piw-ko, jak zdrobniale z ukraińska wymawiał, to głowę miał na maksymalnie trzy browarki. Po trzech zasypiał albo *cudził*. *Cudził*, znaczy stwarzał problemy. Nie chciałem, żeby role się odwróciły i abym to ja został jego przewodnikiem i opiekunem. Byłem już za stary na takie numery. W przeszłości też musiałem uciekać z kraju, z tą różnicą, że na zachód, zamiast na wschód. Za przewodnika wziąłem Mirasa. W samolocie na wysokości dziesięciu kilometrów wyłączył się mieszanka LSD z wódką. Na lotnisku wyprowadzała nas angielska policja. Będąc tak doświadczony, wiedziałem, że muszę robić za przyzwoitkę i dozować alkohol Bratuszce. Wydawało mi się, że znam jego limity. Nie wziąłem jednak pod uwagę temperatury w przedziale. Podszedłem do tematu nauko-matematycznie, czyli mnożąc procent alkoholu w piwie Obołoń przez dwie i pół butelki, jakie Bratuszka już wypił i dodając panującą w przedziale temperaturę oraz dzieląc to przez wagę Bratuszki (niecałe pięćdziesiąt kilogramów); zgodnie z obliczeniami tuż za Warszawą Bratuszki już nie było. Na szczęście do granicy mieliśmy

jeszcze jakieś czterysta kilometrów. Miałem nadzieję, iż do tego czasu w miarę przetrzeźwieje.

Ja natomiast, tylko troszkę podchmielony, miałem czas pomyśleć. Przysunąłem się bliżej okna. Przyciemniłem światło w przedziale, aby lepiej widzieć, co jest za oknem, ale głównie, żeby pozbyć się odbicia swojej zapatrzonej, smutnej twarzy odbijającej się w szybie. Ukazywała się jedynie gdy przejeżdżaliśmy przez zaciemniony obszar. Przypatrywałem się jej w tych momentach. Wydawało mi się, że widzę twarz obcej, nieznanej mi osoby. Nawet gdy uśmiechnąłem się do niej, a ona do mnie, to widziałem tylko zakrzywione kąciaki ust i białe zęby, żadnej radości.

Nie pierwszy raz obserwowałem siebie i dotychczasową rzeczywistość w szybko mknącym oknie. Można by rzec, że trzeci, może czwarty. Przy czym już drugi raz uciekałem z tego samego powodu. Nie byłem teraz zagrożony tak bardzo jak za pierwszym razem, kiedy uciekałem w nieznane, natomiast po raz pierwszy nie chciałem patrzeć w swoje odbicie. Nie podobała mi się ta twarz, ten człowiek. Zacząłem dostrzegać w niej człowieka, który kompletnie nie ma kontroli nad swoim życiem, nigdy jeszcze nie wziął steru w swoje ręce, choć na tym statku zwanym życiem przepłynął już niejedno burzliwe morze, mając przy tym wiele szczęścia w nieszczęściu. Szczęście dawał mi fart od życia, a nieszczęście ja sam. Kolejne wypite piwo zaczęło mi mocno szumieć w głowie, powoli wypłukując z niej złe myśli. W mojej duszy zaczęła górować ciekawość kraju, do którego zmierzałem. Co mnie tam czeka? Jak będzie? Jakie obyczaje? Jacy ludzie?

Na szczęście miałem tam zapewniony komfort materialny. W zamian za opuszczenie kraju i wyjazd na maksymalnie trzymiesięczną wycieczkę, miałem co miesiąc otrzymywać roczną pensję dobrze zarabiającego Ukraińca, aż do zakończenia spraw. Jakich spraw? Do końca sam nie rozumiałem, w co znowu się wpierdoliłem. I chyba nie chciałem wiedzieć, zdałem się tu na słowa Starego.

– Panie Adamie, jak pan tak bardzo lubi ten Wschód, to niech pan wyjedzie na jakiś czas.

– Na jaki czas, panie Władysławie?
– No powiedzmy... na maksymalnie trzy miesiące. Do tego czasu już powinno się wszystko wyjaśnić. Oczywiście wszystkie koszty pokryję oraz dam panu miesięczną, nazwijmy to, pensję w wysokości tysiąca dolarów.

Trzymiesięczna w pełni opłacona przygoda. Problemy i stres zostawię za sobą, wrócę jak już będzie po wszystkim. A co, jeśli wysyła mnie na Wschód, żebym dosłownie „zniknął”? Jednak to nie był styl Starego. Traktowałem go jak prawdziwego ojca, którego nigdy nie miałem. W pełni mu ufałem. Tylko udałem, że się zastanawiam i odparłem:

– Jasne, panie Władysławie. Dla pana to zrobię. Kiedy mam wyjechać?
Stary już wyjmował z sejfu pieniądze. Nie przeliczając wręczył mi plik dolarów i odparł:

– Najlepiej dzisiaj, maksymalnie jutro.

Troszkę mnie to wystraszyło. Praca, którą wykonywałem dla pana Władysława, polegała na pośrednictwie pomiędzy pewnymi grupami biznesmenów, przynajmniej z encyklopedycznej definicji. Pewne służby wzywały mnie od jakiegoś pół roku na różne przesłuchania, ciągnąc po całej Polsce, wyznaczając specjalnie poranne godziny, abym miał jak najwięcej problemów z komfortowym dotarciem na nie. Jakiś czas temu była dosyć duża akcja związana z aferą, w którą byłem zamieszany. Jednego tygodnia aresztowano ponad trzydzieści osób. No, ale dzisiaj? Jutro? To coś musiało, brzydko się wyrażając, pierdolnąć.

Zerknąłem na *jaszczyk* z piwem, potem na Bratuszkę. Spał smacznie. Jeszcze trochę zostało tego piwa, lecz sięgając po następną butelkę przeszła mi ochota, aby ją otwierać. Mentalnie zacząłem przygotowywać się na spotkanie ze służbą graniczną. Uświadomiłem sobie, że podchmielona twarz bardziej zlewała się tu z otoczeniem i wzbudzała większe zaufanie. Kompletnie trzeźwy koleś, tym bardziej turysta, zwracał na siebie uwagę. To znaczyło, że miał coś do ukrycia. Zgodnie z tą logiką, otworzyłem więc nową butelkę i wziąłem parę głębszych łyków. Mój, pożałuj Boże, przewodnik nadal spał. Postanowiłem więc

pójść do toalety, bo czułem już w pęcherzu wypity browar. Chciałem też przy okazji zwiedzić resztę pociągu, który wydawał się dużo bardziej interesujący niż polska kolej. Kierując się w stronę *bardaszki*, po naszymu toalety, nadal byłem pod wrażeniem korytarza, jednak widok publicznego kibla szybko mnie ocucił. Opisu czytelnikowi oszczędzę. Powiem jedynie, że poczułem się jak w pociągu pancernym. Już nie byłem tak bardzo krytyczny wobec higieny innych podróżnych i nie kłąłem jak szewc, że tylko świny mogą tak się załatwiać obok. Wychodząc z niej pomyślałem, że to było duże wyzwanie dla pasażera, który wypił cztery-pięć piw i miał we krwi jeden promil alkoholu. Powyżej promila nie powinno się tam wchodzić, no chyba, że w czasie postoju pociągu. Tylko, jak się wkrótce okazało, w czasie postoju toalety są zamykane. No więc pozostawało nie pić, ale jak nie pić, skoro siedemdziesiąt procent podróżnych pije, a pozostałe trzydzieści nie pije tylko dlatego, że nie może. Jak się zintegrować, jak pokonać ponad tysiąc kilometrów trasy i dwadzieścia sześć godzin wrażeń jazdy pociągiem na trzeźwo? Zderzenie z *bardaszką* na tyle mną wytrzęsło i wyssało z energii, iż zrezygnowałem z dalszej eksploracji mojego wschodniego środka transportu. Bratuszka nadal był wyłączony. Popatrzyłem na niego i pomyślałem, że może jest wprawiony w tych długich podróżach i to jest jego sposób na nie. Napić się na początku drogi i obudzić na jej końcu. Szczególnie, że dużo mu nie trzeba, by się upił. Jeden browar na sto kilometrów, co przy trasie liczącej tysiąc kilometrów, dawało dziesięć browarów. Ekonomicznie, ale kurwa, był w pracy i zapłaciłem mu za tę jego pracę tyle, że mógłby przejechać tym pociągiem nie tysiąc, a milion kilometrów. Szturchnąłem go mocno, aby się obudził i zaczął wykonywać swoje obowiązki, począwszy od wypicia ze mną kolejnego browara. Niestety, szturchnięcia nie przynosiły żadnego rezultatu. Z niemocy postanowiłem go kopnąć, a gdy to też nie wzbudziło żadnej reakcji, zaniepokojony pochyliłem się, by sprawdzić czy żyje. Żył, ale spał jak kamień. Otworzyłem więc następne piwko i usiadłem na swoim miejscu numer 17. Popatrzyłem

na niego i przypominałem sobie, jak można go obudzić. Wiedziałem jakie ma lęki i paranoje, na co na pewno zareaguje.

Bratuszka to ksywa, tak naprawdę miał na imię Witalik. Witalik Morozow. Poznałem go jakieś dwa lata wcześniej. Żartobliwie można powiedzieć, że był moim głównym HR-owcem specjalizującym się w werbowaniu kadry zarządzającej do polskich spółek handlowych. Kadry wysokiego szczebla, członków zarządu, prezesów zarządów, właścicieli pakietów większościowych. Muszę przyznać, że był w tym bardzo skuteczny, w krótkim okresie zwerbował kilkadziesiąt osób na bardzo odpowiedzialne stanowiska. Co tu dużo mówić, był prekursorem tego, co się dzieje dzisiaj, czyli masowego zatrudniania ukraińskich specjalistów w Polsce.

Dopiłem resztkę piwa, obróciłem głowę w lewo i w prawo, aby rozmasować zeszytniały kark i przypominałem sobie dwa magiczne, rosyjskie słowa, które mogły przebudzić śpiącego towarzysza. Powtórzyłem je najpierw pod nosem, wstałem, i ile miałem mocy i talentu do wschodniego akcentu, krzyknąłem:

– *BRATUCHA, MUSORAAAA!!!!*

Zanim jeszcze skończyłem, mój opiekun w błyskawicznym tempie otrzeźwiał. W ćwierć sekundy usiadł, w pół się wyprostował, a po sekundzie zaczął konspiracyjnie szeptać: gdzie? gdzie? gdzie?, nerwowo rozglądając się po przedziale, by zlokalizować miejsce do schowania się lub ucieczki.

– Bratucha do szafy nie wejdiesz, bo tam są walizki.

Widząc panikę w jego oczach, zrobiło mi się żal chłopaka, więc dodałem:

– Bratuszka, żartowałem, nie ma żadnych *musorów*. Otwieraj piwko i pijemy.

Jedziemy dalej. Minęło jeszcze troszkę czasu nim do Bratuchy dotarło, że znowu dał się podejść tym starym, sprawdzonym sposobem. Za każdym razem nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, widząc reakcję Bratuszki na samo wspomnienie o *musorach*. *Musora* w gwarze

ukraińskiej to zwrot używany do określania policjantów. Różni się od polskich psów tym, że *musor* to nie zwierzę, a kosz na śmieci.

– Kurwa, Adam, kurwa, znowu. Kurwa.

To słowo nie jest tak straszne ani wulgarne, kiedy wypowiada się je ze wschodnim akcentem.

Bratuszka otwierał piwko nadal rozglądając się nerwowo, jakby nad tym nie panował. Mówił coś wściekły po rusku, może ukraińsku... jeszcze nie odróżniałem tych języków. Zawsze tak reagował zaskoczony okrzykiem: *musora*. W rzeczywistości, kiedy faktycznie zobaczył psy, Bratuchę praktycznie paraliżowało, zastygał w miejscu i zachowywał się jak zahipnotyzowany. Określiłem tę jego przypadłość syndromem Bazyliszka. O tej jego przypadłości wiedzieli wszyscy od Kaukazu, poprzez Moskwę, do Kijowa. Legenda niesie, że biednemu Bratuszcze tak się porobiło, gdy pierwszy raz miał faktyczny i bolesny kontakt z *musorami* na jakiś amatorskich zawodach bokserskich w Leningradzie jeszcze za czasów ZSRR. Wtedy to po zwycięskich walkach popił swojego ulubionego piwka i dopieprzył się do *musora*, który bardzo nie po dżentelmeńsku traktował dziewczyny z kadry Ukrainy.

Bratucha podświadomie zawsze był dżentelmenem, więc podszedł do *musora* i bez słowa jebnął mu prawym podbródkowym. Milicjant walnął o ziemię i było po walce, przynajmniej jeden na jeden. Pech chciał, że wtedy jedyny, i chyba pierwszy i ostatni, raz Bratuszka się nie rozejrzał. To był duży błąd, ponieważ leżący w kałuży krwi *musor* miał nieopodal kolegów. Jak słyszałem, pięciu. Obskoczyli Bratuszkę, ale kierując się tylko jego drobną budową, zlekceważyli. Trzy nosy złamane. No, ale jak to mawiają, każdy szermierz dupa, kiedy wrogów kupa. Przewaga liczebna zrobiła swoje i *musorska* masa powaliła Bratuszkę na ziemię. Spędził w szpitalu parę miesięcy nim wrócił na Ukrainę odsiedzieć półtora roku za czynną napaść na milicję.

W tamtych czasach był to skandal na cały Sojuz, ponieważ Bratuszka był faworytem do medali w boksie w wadze piórkowej na zawodach bratnich narodów. Musiał więc dla przykładu odsiedzieć swoje

od deski do deski i zostać zdyskwalifikowany dożywotnio. Tak zakończyła się bokserska kariera Bratuszki. Tylko dlatego, że stanął w obronie dziewcząt. Oczywiście mogło być jeszcze inaczej. Znajac Bratuchę, może zobaczył fajną dupę, a że bajerę miał słabą i był nieśmiałym chłopcem, to równie dobrze po paru swoich ulubionych piwkach mógł podejść do *musora* i, aby zaimponować dziewczynie, uderzył go prawym sierpowym; pokazać jej jaki z niego Spartak. Ot, taki to Witalik, zwany Bratuszką.

Stuknęliśmy się buteleczkami w geście pojednania. Po trzech większych łykach na twarzy Bratuszki z powrotem zapanował spokój, a oczy przestały mu latać po całym przedziale. Wzniosłem toast za jego zdrowie i w ramach przeprosin za akcję *musora*. Odsłoniłem zasłonę w oknie, a firankę przeciągnąłem maksymalnie w prawą stronę. Zacząłem szukać jakiejś klamki, zamka, czegokolwiek, aby choć na minutkę otworzyć okno, przewietrzyć przedział i wpuścić świeżego powietrza. Chciałem jeszcze popić bez większych konsekwencji dla ciała i ducha. Gdy duszno, gorąco i nie ma czym oddychać, alkohol rozkłada człowieka bardzo szybko. Zapoznawszy się z mapą trasy na ścianie pociągu relacji Amsterdam-Odessa, udało mi się ustalić po widoku miasta, przez które przejeżdżaliśmy, że przekroczyliśmy tak zwany rubikon w picu. Nie było ani czasu, ani sensu trzeźwieć, ani mocno się napierdolić. Pozostało tylko spokojnie pić piwko do samej granicy, aby być troszkę bardziej podchmielonym.

– Adam, tutaj okna się nie otwierają.

Jak usłyszałem, że jestem zamknięty i nie mogę otworzyć okna, poczułem się klaustrofobicznie.

– A gdzie klimatyzacja, kurwa?

– Nie działa, nie ma.

Zacząłem być coraz bardziej podkurwiony i z wyrzutem podnosić głos na Bratuszkę, jakby to on projektował te sowieckie przedziały. Znalazłem jeszcze jakąś skrzynkę nad drzwiami po przeciwnej stronie, z symbolem wiatraczka. Pokręciłem przymocowanym do niej

wihajstrem, a gdy to nic nie dało, troszkę poszarpałem to w lewo, to w prawo; wszystko co mogłem, to pokręcić sobie.

Brakowało chłodniejszego powietrza, z nerwów zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco.

– Jak chcesz chłodniej, to otwórz drzwi. A najlepiej *idziom zakuryć*, tam będzie chłodniej. Przy okazji kupimy piwko, bo się kończy i jakąś rybkę może, coś do jedzenia, bo zgłodniałem.

Nie wiedziałem, co Bratuszka dokładnie ma na myśli, ale pomyślałem o jakimś wagonie restauracyjnym.

– Dobra.

Założyłem buty, wziąłem portfel i paszport. Cały zaniepokojony i głodny ruszyłem. Chciałem zobaczyć, jak wygląda ruski odpowiednik WARSu.

– Pierw coś kupujemy do picia i jedzenia, czy idziemy *zakuryć*?

– *Zakuryć* i się przewietrzyć, bo zdechnę od tej temperatury.

Samo otwarcie drzwi i dopływ powietrza, może nie świeżego, ale świeższego, było miłą odmianą. To wystarczyło, aby te kleszcze klaustrofobicznej paranoi puściły mój umysł. Znowu poczułem zapach węgla i palonego drewna. Skąd zapach węgla w nowoczesnym pociągu? Nowoczesny to może przesada. No, ale nie znajdowałem się chyba w ciuchci z przełomu wieków? Z tych myśli wybiło mnie jednak coś innego. Synchronizacja miękkich nóg z kołysaniem się pociągu i miękkim dywanem prowokowała mnie do puszczenia pawia. Zauważywszy to Bratuszka zmienił szybko kierunek naszej wycieczki. Zamiast do palarni popędził mnie w przeciwnym kierunku, też do łącznika, który znajdował się tuż za pomieszczeniem służbowym pani konduktor. Tam buchnął we mnie żar, a chwilę potem siarczasty chłód. Te dwie skrajności powstrzymały chęć do rzygania. W łączniku naprawdę było zimno, a schowane za drzwiami schodki były zawiane śniegiem. Jednocześnie dosłownie parę kroków dalej, na całej szerokości łącznika, nie tylko nie było żadnego chłodu, lecz wszelka woda, jaka się tam znajdowała, parowała. Anomalia jakaś.

Wszystko się szybko wyjaśniło, kiedy weszła pani konduktor, żeby sprawdzić, czy aby na pewno nie palimy papierosów. Podejrzewam, że musiała zauważyć, jak pędzę przed siebie, mijając jej przedział z wyrazem twarzy, który zdradzał gotowość do rzygania. Nie zauważywszy nic podejrzanego, zdjęła metalową pokrywę. Odsłoniła tym samym diabelną maszynę, której najważniejszą częścią był piec. Kurwa, piec?! Jedynie parę piw dzieliło mnie od tego, abym uwierzył, że zwariowałem. Poprosiłem Bratuszkę, aby się odsunął i dał mi lepszy widok na tę maszynę, zamontowaną nie w domu, nie w piwnicy, tylko, kurwa, w pociągu. Pani konduktor postawiła szklankę z nasypaną herbatą pod jakiś kranik, który wystawał spośród zwoju rur i rureczek, pokręteł i zakrętek, i jak gdyby nic, w tumanie pary, zalała herbatę wrzątkiem. Odwróciła się w moją stronę, coś powiedziała po rusku, może ukraińsku, z czego nic nie zrozumiałem, stałem jak wryty. Dopiero Bratuszka wybudził mnie z tego transu, krzycząc:

– Adam, weź szklankę od pani.

Jak na rozkaz wyciągnąłem rękę i przejąłem szklankę gorącej herbaty. Pani konduktor nabrała wąską szufelką węgla i sypnęła do pieca, po czym zamknęła go pokrywą. Stuknęła jeszcze palcem w jakiś wskaźnik w kształcie zegara, odebrała ode mnie szklankę i wróciła do swojego przedziału. Ja natomiast nadal stałem z wysuniętą do przodu ręką, nie mogąc przetrwać sceny, która wydarzyła się przed chwilą. Już wiedziałem, skąd w przedziale ten zapach palonego węgla ciągnący się za mną, od kiedy wsiadłem do pociągu na Dworcu Centralnym. Tłumaczyło to też żar bijący w przedziałach. Jak miało nie być w nich gorąco, jeśli dziesięć metrów od nich znajdował się najprawdziwszy piec? Jak się później dowiedziałem, każdy z wagonów posiadał taki piec. W razie awarii lokomotywy czy trakcji, gdyby pociąg stanął w szczerym polu, nawet podczas najsurowszej zimy, człowiek by nie zmarzł, dopóki starczyłoby węgla i drewna, którym przecież wyłożone były przedziały. Pasażerowie z pewnością doczekali by się pomocy, a w czasie wojny posiłków.

– Bratuszka, to jeszcze dawaj do restauracyjnego po piwko i po coś do jedzenia.

– A dobrze, zapomniałem.

Znowu zawróciliśmy, więc pomyślałem, że wagon restauracyjny musi być po przeciwnej stronie. Bratuszka zatrzymał się jednak naprzeciwko przedziału pani konduktor. Będąc ciekaw włożyłem głowę w drzwi, by zobaczyć, co dzieje się w środku. Szeroko się uśmiechając i znając się już z panią konduktor, postanowiłem zaimponować jej i Bratuszcze. Powiedziałem publicznie swoje pierwsze słowo po rosyjsku:

– *Zdrastwujcie!*

Byłem pewien, że pani konduktor przyjmie to przywitanie za dobry gest ze strony obcokrajowca. Jednak zamiast uśmiechu czy miłej odpowiedzi ujrzałem jedynie srogą minę, która zdawała się mnie potępiać. Usłyszałem coś, ale nie mam pojęcia co, z racji, że nie znałem wtedy jeszcze ukraińskiego. Instynktownie czułem jednak, że nie było to nic miłego. Myślałem, że *zdrastwujcie* to nasze polskie „dzień dobry” i nie ma ono innego znaczenia.

– Adam, ty to lepiej idź do przedziału, a ja zaraz przyjdę.

Spaliłem się ze wstydu, więc nie chciałem dociekać, co też takiego zrobiłem i w czym był problem. Zdziwiony i zbity z tropu wróciłem do przedziału. Pięć minut później wrócił Witalik z siatką pełną alkoholu i jedzenia.

– Tak szybko wróciłeś z restauracyjnego? A o co ta pani kierownik była zła na mnie? Chciałem się ładnie przywitać. Źle powiedziałem? Niepoprawnie? I czemu mnie do WARSu nie wzięłeś, przecież mieliśmy iść razem?

Bratuszka pokręcił tylko głową, otworzył browarka i zaczął tłumaczyć:

– Adam, dziewczyna jest z Czortkowa, z zachodniej Ukrainy, patriotka i ruski język ją po prostu wkurwia. Jedziesz na Ukrainę, mówisz po ukraińsku, jak będziesz jechać do Rosji, będziesz mówić po rusku.

– No, a ty Bratucha? Ciebie nie wkurwiło?

Bratuszka uśmiechnął się, łyknął browarka i z bananem na ustach odrzekł:

– Adam, mnie to nie wkurwia, bo ja człowiek *internationale*.

Odpowiedź Bratuszki rozbawiła mnie na tyle, że przestałem myśleć o tym problemie. To był pierwszy, ale nie ostatni raz, kiedy popełniłem takie *faux pas*. Gdy lepiej poznałem Ukrainę i Ukraińców, zacząłem zgadzać się z podejściem pani konduktor. Jeżeli teraz to czyta, to chciałbym ją za moje maniery przeprosić.

Pozostawała jednak nadal kwestia WARSu, a ja, jako osoba ciekawska, musiałem się do sprawy dojechać dla zasady.

– Bratucha, a czemu nie zabrałeś mnie do WARSu? Ile razy mówiłem ci, abyś mnie tam zabrał?!

– Adam, żadnego restauracyjnego wagonu w tym pociągu nie ma.

– Jak, kurwa, nie ma. Drugi raz przychodzisz z reklamówką browarów i teraz jeszcze masz do tego żarcie.

– Nie ma, to wszystko, co kupiłem i przyniosłem do przedziału, to od pani konduktor, która oprócz sprawdzania biletów, rozdawania pościeli, dbania o piec, porządek i ciepłą wodę, po cichu sprzedaje „spod kołdry” alkohol i zakąski, by dorobić sobie do chujowej pensji. Dlatego też kazałem ci wypierdalać, bo jeszcze jedno słowo byś jebnął po rusku, to do końca podróży jechalibyśmy na pusty żołądek. Gwarantuję, że w żadnym innym wagonie od innych kierowniczek też byśmy nic nie dostali. Poszłaby fama i embargo na cały pociąg.

– Zdrowie, Bratuszka!

Stuknęliśmy się browarami, a że wpadła mi w ucho ulubiona przyspiewka Witalika, to razem zanuciliśmy tara tara tara. No i tak nuciliśmy te bratuszowskie tarataratara pijąc już piwko za piwkiem do otwarcia drzwi przedziału.

– Dobry wieczór, Kontrola Graniczna. Proszę przygotować paszporty.

Bratuszka zbladł i zastygł bez ruchu, bo włączył mu się Bazyliszek. Ja z kolei uśmiechnąłem się szczerze, bez strachu i obaw, które utopiłem w jasnym Obołoniu:

– Oczywiście.

Wyjąłem paszport z kieszeni, wybudziłem Bratuszkę z letargu, szepcząc mu do ucha, że to nie *musory*, a straż graniczna. Na pytanie jaki jest cel naszej wizyty, podałem ustaloną wcześniej z Witalikiem wersję, że nam tak wesoło i że pijemy, ponieważ koledze urodził się syn. Swoją drogą, jeżeli byłaby to prawda za każdym razem, gdy celnicy to słyszą, to Ukraina szybko prześcignęłaby populacją Chiny lub Indie. Myślę, że do tej pory jest to najczęściej wciskana ściema, którą podaje się straży granicznej, aby usprawiedliwić stan upojenia alkoholowego. Pogranicznicy na pewno zdawali sobie sprawę z tego, że to ściema, ale w końcu nie byliśmy pierwszymi czy ostatnimi podchmielonymi pasażerami tegoż pociągu, a oni chcieli tylko załatwić formalności i ruszyć dalej. Żal nam dupę ścisnął, że nic nie wieźliśmy na kontrabandę. W czterech walizkach dużo by się zmieściło, a walizek nie sprawdzali. Strach ma wielkie oczy i nie miałem się czego obawiać. Człowiek zawsze mądrzejszy po niż przed.

Czekało nas jeszcze podnoszenie wagonu, aby zmienić podwozie i dostosować je do szerokości wschodniej trakcji. Długo tego wyczekiwałem i miała to być turystyczna atrakcja, ale zmęczony piwkiem i podróżą najzwyczajniej usnąłem i cały proceder przespałem. Spaliśmy z Witalikiem opierając się o siebie jak frontowi żołnierze wyczekujący nocnej ofensywy wroga. Obudził mnie straszny suszniak w ustach. Niemrawo otworzyłem jedno oko i objąłem wzrokiem przedział. Na to jedno oko wszystko było takie jak przed jego zamknięciem. Skanując otaczającą mnie rzeczywistość drugim, upewniłem się, że Bratuszka i bagaże są. Jedyne, czego nie mogłem wypatrzyć, to czegoś do picia. Nawet kropli piwa czy wody, nieważne, zimnej czy ciepłej. Potrzebowałem cieczy. Nie widziałem, co było za oknem, ponieważ cała szyba zaparowała.

Moja wizja jednak szybko zaczęła falować, a język w niekontrolowany sposób miotał się po ustach, domagając się czegoś do picia. Gdyby nie ten straszliwy kac, najchętniej dalej poszedłbym spać. Przysunąłem

się w kierunku okna, zdesperowany myśląc, że zaraz zliżę całą wilgoć z szyby. Całe szczęście, że pociąg stał, bo do tego wszystkiego dołączyły się nudności. Poczułem straszną zgagę w gardle, a żołądek nie mógł się zdecydować czy jest pusty, czy wzdęty. Wszystkie organy zaczęły narzekać. To znaczyło, że się obudziłem, a pociąg stał. No właśnie. Stał. Nie czułem podskakiwania, wibracji. Nie słyszałem stukotu kół. Niczego poza pochrapywaniem Bratuszki. Instynkt samozachowawczy wziął jednak górę, więc zamiast wylizywać szybę, wytarłem ją rękawem koszuli. Nie do końca wiem czego się spodziewałem. Moim oczom ukazała się gromada sylwetek wszelkiej maści, które szarżowały w kierunku pociągu. Za nimi zaś rozciągał się bielutki horyzont, pusty jak na obrazie. Mieszanka informacji i potężnego kaca oraz fakt, że z jakiegoś powodu staliśmy w szczerym polu, wywołały atak paniki. Nie zastanawiając się ani sekundy, zacząłem budzić Bratuchę i krzyczeć:

– Witalik, spierdalamy z pociągu! Coś się stało, może wypadek, może nas napadli, może pożar, spierdalamy stąd.

Bratuchy też nie oszczędziło całonocne picie. Nie wiem, które słowo zrozumiał z tego, co do niego krzyczałem, ale musiało poskutkować, bo nim otworzył oczy i wyprostował się, wybiegł z przedziału. Jednak zanim wyciągnąłem z szafy walizki, bez których nie mogłem się ruszyć, w końcu stanowiły cały mój dobytek, Bratuszka wrócił z ewakuacji.

– Adam, ty jesteś pojebany.

Wiedziałem już, że nic się strasznego nie działo, ponieważ śmiał się do rozpuku, mamrocząc jedynie co chwilę: pojebany. Ludzie z innych przedziałów zaczęli wychodzić w piżamach, pewnie obudzeni moimi krzykami i rumorem ewakuującego się Bratuchy.

– Adam, jesteś pojebany. To Szewczenko!

– Jakie Szewczenko?

Przetarłem najpierw oczy, a potem raz jeszcze szybę. Postacie, które chwilę wcześniej wydawały się wielkim zagrożeniem, okazały się gromadą babuszek, które nie krzyczały złowrogo, lecz zachwalały towary, które przyniosły, by sprzedać podróżującym.

– *Wareniki! Pielmieni! Pierogi! Czeburaki! Rybki!*

Te stare baby, które otoczyły pociąg, szczególnie nasz wagon, bo był międzynarodowy i tu można było łatwiej i drożej sprzedać swoje wyroby, biegły nie po to, aby nas rabować, tylko aby mieć jak najlepszą miejscówkę do handlu. A Szewczenko? Bratucha powiedział, że to stacja *dokowania*. Była zlokalizowana w szczerym polu, a jedyną infrastrukturą, jaką zauważyłem, był wąty peron. Nic więcej. Pola zasypa-
ne, zawiane śniegiem. Jedynie górująca nad pociągiem wieża ciśnień
widniała na horyzoncie. *Ja ochujałem.*

Postanowiłem, że nigdy w życiu nie tknę alkoholu. Szybko jednak
wziąłem poprawkę i obiecałem sobie, żeby nigdy nie wjeżdżać do no-
wego kraju najebanym. Wymusiłem na Bratuszcze przysięgę, aby ni-
gdy nikomu o tym nie mówił, bo nie przestaliby się ryc ze śmiechu.
Oczywiście ta przysięga Bratuszki, że nikomu nic nie powie, dała tyle,
że jak Bratuszkę znali z syndromu Bazyliszka i reakcji na *musora*, tak
o mnie od gór Kaukazu poprzez Moskwę i Kijów będzie wiadomo,
że jestem pierwszym człowiekiem od czasów rewolucji październi-
kowej, który padł ofiarą napaści na pociąg przez watahę starowinek
handlujących pierogami. Nie wiem, co strzeliło mi wtedy do głowy,
ale prawdopodobnie były to podświadome lęki jeszcze z czasów Ma-
jorki, podsyczone kacem, tropikalnym żarem przedziału i zupełnie
obcą rzeczywistością, w jakiej się znalazłem. Tak jak pociąg suszy-
ło, tak i mnie też trzeba było zatankować, bo inaczej to bym chyba
Bratuszcze tam zszedł. Pociąg miał ponoć stać jeszcze godzinę, mia-
łem zatem czas by przyjrzeć się, co dokładnie mogły nam te babcie
sprzedać. Wyszedłem z pociągu, a raczej wyskoczyłem, ponieważ od
ostatniego metalowego stopnia przy drzwiach do peronu brakowało
około metra i w tej samej sekundzie chciałem do niego natychmiast
wrócić. Jak jeszcze chwilę wcześniej było mi bardzo gorąco, to gdy tyl-
ko stanąłem na peronie pomyślałem, że nie zrobię już żadnego kro-
ku, ponieważ zamarzłem. Było chyba sześćdziesiąt stopni poniżej
zera, tak przynajmniej mi się wydawało. Gdyby nie ten kac, suchość

w gardle i zamknięty „WARS”, od razu bym podjął wspinaczkę, aby dostać się do środka.

Popatrzyłem jeszcze obolałym wzrokiem i przytępionym umysłem na stalowego potwora, obok którego się znalazłem. Starałem się go objąć w całości wzrokiem w jednej perspektywie, lecz nie dałem rady. Musiałem zmierzyć go wzrokiem od dołu po górę, aby ujrzeć choćby okna tegoż potwora. Dopiero brak peronu, a właściwie jego namiastka, ukazała wielkość i ogrom pociągu, którego ostatni schodek kończył się na wysokości mojej klatki piersiowej, a nie jestem przecież z metra cięty. Przypomniałem sobie z programów Discovery, że aby nie zamarznąć, muszę się ruszać i tak, ku uciesze gawiedzi, w cieniutkiej marynarce, klapkach, bez czapki i rękawiczek zacząłem robić pajacyki, czekając na Bratuszkę, którego jak zwykle, kurwa, nie było, kiedy go przeokropnie potrzebowałem. Machając rękoma we wszystkie strony i podskakując jak zając, przeklinałem go w myśli mając nadzieję, że się nie rozmyślił po drodze i nie wrócił spać. No, bo kto mi wtedy rzuci linę, abym wszedł z powrotem do wagonu? Wreszcie ujrzałem Bratuchę, stał w drzwiach wagonu i widząc jego twarz pomyślałem, że obiera technikę skoku, a może lotu na dół. No, ale ku mojemu zaskoczeniu, hop – i Bratucha był na dole. Musiał mieć wprawę i opanowaną technikę skoku, ponieważ tak jak mi ostatni stopień schodów sięgał do klatki piersiowej, to Bratuszce ten stopień sięgał do połamanego od walk bokerskich nosa.

– Adam, co robisz? Przestań, bo się wszyscy patrzą i śmieją, jeszcze przyjdą *musoraaa*.

– A w dupie, Bratucha, mam twoich *musorów* i to, że się wszyscy patrzą i śmieją. Lepiej się ruszaj, bo zamarzniesz. Tu jest przynajmniej minus sześćdziesiąt.

– Jakie sześćdziesiąt poniżej zera? Zdurniałeś? Jest minus piętnaście. Było się ubrać, *duraczku*.

Bratuszka, dużo mądrzejszy ode mnie i pewnie bardziej doświadczony, opatulił się i ubrał tak, jakby miał brać udział w zawodach psich

zaprzęgów na Alasce. Ja rzeczywiście musiałem wyglądać jak debil w tym ubranku, już nawet bez machania rękoma. Poprosiłem Bratuszkę, abyśmy zrobili zakupy i szybko wdrapali się z powrotem do pociągu. Nieważne było wtedy dla mnie ciepłe jedzenie, zależało mi na tym, aby zaopatrzyć się w cokolwiek do picia. Rozejrzałem się dookoła. Czysta przestrzeń, gdziekolwiek bym nie popatrzył, w którą stronę bym się nie obrócił, wszędzie białe pola, czasem jakby poszarpane, pocięte niewielkimi wzniesieniami. Pomyślałem, że Matka Natura specjalnie pocięła tę przestrzeń, aby ludzie i zwierzęta nie zwariowali i nie pomyśleli, że znaleźli się w chmurach. Żadnego lasu, żadnego zagajnika, nie wspomnę o jakiegokolwiek zabudowie czy choćby pojedynczym domu. Może gdzieś w oddali snuły się cienkie strużki dymu świadczące o tym, że komuś jest zimno. Przecież te wszystkie handlarzki nie pojawiły się znikąd. To prawdziwi ludzie, a nie króliki, które mieszkają w norkach.

Stojąc jak wryty na tym mrozie przypomniałem sobie o przegranej wojnie Napoleona, o powrocie jego pokonanej armii i o II Wojnie Światowej. O tym, co ten „pederasta Hitler” mówił o braku przestrzeni życiowej dla swojego niemieckiego narodu i że z chęci jej zdobycia wymordował tylu ludzi, tylu próbował zniewolić. Taki żołnierz hitlerowiec, kiedy wreszcie ujrzał tę przestrzeń, za którą mordował, musiał się zesrać ze strachu na sam jej widok, co akurat było dobre. Wielka przestrzeń wywołuje fascynację, ale też strach, że nie ma końca. Może miałem fobię, ale przestrzeń na pewno wzbudza dziwny stan niepokoju, który trudno wytłumaczyć. Wszystko, co nas otacza, wszystko o czym myślimy, planujemy, nawet wspominamy, ma początek, środek i koniec. A tu?! Nie ma końca.

W tym natłoku myśli i zastygnięty w otaczającej mnie przestrzeni i niesamowitym pejzażu, nie zauważyłem kiedy wokół mnie zebrał się tłum kobiet. Dopiero teraz z bliska przyjrzałem się ich zmęczonym twarzom, starym i spracowanym. Odechciało mi się myśleć o nich żartobliwie, czy z pogardą. Wręcz odwrotnie. Poczułem wielki respekt,

podziw i szacunek dla ich pracy, siły i determinacji, aby w ich położeniu i sytuacji materialnej, przeżyć najbardziej godnie.

Te *wareniki*, *pielmieni*, *czeburaki*, które miałem zaraz kupić, przecież nie wzięły się z powietrza. Te kobiety, nie wiem, ile miały lat, ale wszystkie wyglądały na starowinki, nawet jeśli miały po czterdzieści lat, to czas ich nie oszczędzał. Musiały przecież rozrobić ciasto, ugotować farsz, skleić w całość i przyjąć tutaj nie wiadomo z jak daleka, aby je jeszcze ciepłe sprzedać. W dodatku nie miały gwarancji, że im się to uda. Gdy sobie to wszystko uświadomiłem, zobaczyłem jaki ze mnie nadęty, kolorowy dupek, który chce pokazać wszystkim jaki to z niego Europejczyk. Miałem ochotę położyć na tych torach głowę i krzyknąć do maszynisty: dawaj.

Do tej pory prześladowe mnie obraz tych kobiet. Szczególnie od czasu, gdy dowiedziałem się jak wygląda podział społeczeństwa na Ukrainie. Kraj ten dzieli się na pieprzonych oligarchów, mających naród w dupie i myślących tylko o nabijaniu sobie kieszeni srebrnikami oraz na ludzi biednych. To się nie zmieniło i nie zmienia. Nie masz kurki, nie masz świnki, możesz umrzeć z głodu. No chyba że, jak to mówi Bratuszka: cik, cik, cik.

Nie mogąc zmienić oligarchów, ani zmienić rządów, w dodatku jeszcze bez wiedzy o tym bezprawiu i sytuacji na Ukrainie, zachowałem się jak podpowiadało mi serce. Zawołałem Bratuszkę i kazałem mu oddać mi wszystkie hrywny, a potem kupiłem za nie wszystko, co miały do zaoferowania otaczające mnie starowinki. Jego mina zdradzała, że nie może tego przeżyć. Dławiła go żaba (w wolnym tłumaczeniu: żał mu dupę ścisnąć), że tyle pieniędzy oddałem babom. Zapamiętałem upychał w każdą wolną kieszeń reklamóweczki z jedzeniem. Ja wziąłem tylko tyle, ile uznałem, że nam wystarczy. Resztę zostawiłem na peronie. Niestety, w torbach i jaszczkach było tylko jedzenie, żadnego piwa, napoju czy wody mineralnej. Pomiędzy babuszkami a personelem pociągu był zawarty układ, o którym wtedy nie wiedziałem. Polegał na tym, iż babuszki sprzedawać mogą wszystko, nawet pieczonego

prosiaka, kawior i losy na loterię, ale mają zakaz sprzedaży jakichkolwiek napojów, począwszy od wody, na samogonie skończywszy. To była domena i wyłączność pań konduktorek. Zasada ta była pilnie przestrzegana. Nie mogąc już wytrzymać z pragnienia, zbiłem kulkę śniegu i sączyłem ją jak mineralną na dużym lodzie.

Nie miałem do Bratuszki żalu, że był przeciwny, abym rozdał pieniądze. Był stąd, całkiem inaczej patrzył na to wszystko, był przyzwyczajony. Wspinając się z powrotem do wagonu, pomyślałem, że trzeba było wziąć więcej tego żarcia i nie zostawiać niczego na peronie, bo w pijackim maratonie moglibyśmy zajechać aż na Sybir. Mój lęk przed bezkresem minął jak ręką odjął na widok, który ukazał mi się z drugiej strony pociągu. Wszystko zajebiste! Domki, ulice, samochody i troszkę ludzi, jak wszędzie spieszących się do pracy. Klasyczna cywilizacja. Po prostu wysiadłem po złej stronie torów lub pociąg podjechał od złej strony peronu. Na szczęście „WARS” był już czynny. Zaspokoiliem pragnienie piwkiem Obołoń i zasnąłem jak prawdziwy podróżny zmęczony ciężką, pełną przygód drogą. Jeszcze gdzieś w zakamarku umysłu dogoniła mnie nutka znanego hitu tara tara tara i informacja:

– Adam, za pięć godzin będziemy w Czer... tara tara tara.